

Część III EMIGRACJA I POLITYKA

9. Wewnętrzna emigracja, 1975-1980

Leczenie, 1974

Na początku 1974 r. po powrocie z PESELA do KBI, moje dni w tym biurze były już policzone, bowiem MSW, a faktycznie jego „długa ręka” płk Orłowski przy współpracy prof. Straszaka z KC uznał mnie za szkodnika, którego trzeba wypłenić z „socjalistycznej” informatyki. Minister Nauki przeniósł mnie na stanowisko docenta do Szkoły Głównej Planowania i Statystyki (SGPiS) w Warszawie, dzisiaj zwanej Główną Szkołą Handlową. Aby odetchnąć świeżym powietrzem po walce z wiatrakami w PRL, postarałem się o stanowisko wizytującego profesora w Hamilton College w Stanach Zjednoczonych. Oczywiście władze SGPiSu poszły mi na rękę i udzieliły mi roczny urlop, a władze paszportowe (czyli MSW), które decydowały wówczas o wyjazdach zagranicznych dały mi i mojej żonie Ali oraz synkowi Stasiowi paszporty. MSW liczyło, że zostanę w USA i przestanę niepokoić władze swoimi ideami zreformowania Dyktatury przy pomocy informatyki.

Praca w pionierskim okresie informatyki w PRL była bardzo psychicznie wyczerpująca, nic więc dziwnego, że nabawiłem się owrzodzenia żołądka i dwunastnicy, którą musiałem zoperować przed wyjazdem do USA. W tamtych czasach nie było jeszcze leków na tego typu chorobę i trzeba było ją leczyć operacyjnie. Nie była także znana technika laserowa operacji, a okres rekonwalescencji pooperacyjnej był długi i nawet bolesny. Nie przejmowałem się tym zbyt i szykowałem się do wyjazdu do USA, aby jak najszybciej „zapomnieć” o „socjalistycznej” informatyce i zacząć poznawać „kapitalistyczną” informatykę.

Pod koniec sierpnia 1974 wyleciałem samolotem do Stanów Zjednoczonych, w trzy miesiące potem dołączyła do mnie Ala ze Stasiem. Po raz pierwszy wyjechałem na Zachód z rodziną, która uprzednio zawsze zostawała w kraju jako typowi zakładnicy, zresztą była to powszechna praktyka stosowana wobec specjalistów takich jak ja. Tym razem jednak władze chciały się mnie pozbyć i dlatego dano naszej całej rodzinie paszporty. Wówczas otrzymanie paszportu było jakby przywilejem, udzielanym przez Dyktaturę, pod warunkiem, że się jej nie naraziło. W ten sposób trzymano społeczeństwo w ryzach. Gwoli sprawiedliwości muszę dodać, że gierkowska Dyktatura PRL (1971-1980) była najbardziej „ludzka” ze wszystkich dotychczasowych, nie mszczono się na ludziach jak za czasów stalinowskich, czy gomułkowskich, szykanowano ludzi, ale nie niszczo-

no ich fizycznie. Nie bez powodu nazywaliśmy Polskę „najweselszym” barakiem Obozu Socjalistycznego.

Wyjazd do USA, 1974-75

Dla informatyka wyjazd do pracy do USA ma takie same znaczenie, jak dla księdza wyjazd do Watykanu. W załatwieniu tego wyjazdu, który zmienił moje życie, jak zwykle pomógł mi przypadek, zresztą z pewnym morałem. Otóż kiedyś poznałem w USA Georga Capsisa z Zrzeszenia Amerykańskich Informatyków (*Association of Computer Machinery* — ACM), który był zafascynowany faktem, że za Żelazną Kurtyną prowadzi się projekty typu INFOSTRADY. Otóż George poprosił mnie, abym dobrze przyjął w KBI jego przyjaciela Georga Cogara, konstruktora komputerów, który udaje się do Polski, aby zapoznać się z potrzebami tego rynku i życiem za Żelazną Kurtyną.

Kiedy Cogar w 1973 r. odwiedził mnie w KBI odbyliśmy długą fachową rozmowę, po której zaprosiłem go wraz z żoną Ann na kolację do domu. Byłem zafascynowany jego osobą, jego skromnością i rzeczowością, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że był projektantem pierwszego amerykańskiego minikomputera do przetwarzania danych — UNIVAC 10 i pierwszego amerykańskiego mikrokomputera COGAR 1500. Byłem onieśmielony jego osiągnięciami, o których mówił ze skromnością typową dla wielkich inżynierów, którzy znają swoją wartość i nie muszą się sztucznie puszyć. Na spotkanie z Cogarami w moim maleńkim mieszkaniu (M6 o powierzchni 65 m²)¹ zaprosiłem jeszcze Jacka Karpińskiego, naszego sławnego konstruktora K202 i Stefana Bratkowskiego, znanego promotora informatyki w prasie oraz moich przyjaciół Ikę i Wojtkę Żurowskich. Moja gościnność była całkowicie bezinteresowna, wynikała z zawodowej uprzejmości i polecenia Capsisa. Myślę, że Cogar zauważył to i kiedy znalazłem się w tarapatkach, Capsis zadzwonił do niego, a on załatwił mi wspomnianą posadę wizytującego profesora na uczelni, w której zasiadał w Radzie Powierników (*Board of Trustees*), odpowiedniku Rady Nadzorczej w firmach biznesowych. Cogar był multimilionerem, ale tego absolutnie nie dał mi poznać po sobie w czasie swojej wizyty w Polsce. Wynika stąd morał, że warto być gościnnym, zwłaszcza wobec ludzi skromnych i ciekawych, i nie liczyć, że to może się „opłacać”.

Hamilton College znajduje się w miasteczku Clinton koło dużego miasta Utica w północnej części stanu Nowy York. College miał wówczas ponad 100 lat i był nazwany imieniem pierwszego ministra skarbu Stanów Zjednoczonych, którego idee finansowe dały podwaliny pod najmocniejszą gospodarkę świata. W Hamilton studiuje bardzo zamożna młodzież na pięknym kampusie, w czasach, które

¹ Piszę o moim „maleńkim” mieszkaniu w kontekście mieszkań w USA, gdzie np. teraz mieszkam w domu o powierzchni 400 m². Sam Cogar miał dom z krytym basenem i posiadłość z własnym lotniskiem, o czym wówczas nie wiedziałem.

jakby były jeszcze ostatnim akordem wspaniałych lat 60. i pamięci po fascynującym prezydencie Johnie Kennedy'm. Wkrótce zaczął się kryzys energetyczny, wynikły z podniesienia przez OPEC cen na ropę naftową i rozpoczęło się stopniowe przechodzenie Amerykanów na bardziej oszczędny styl życia.

Na lotnisko wyjechał po mnie przedstawiciel Prezydenta uczelni, skąd udaliśmy się do wykwintnej restauracji, gdzie czekał na mnie prezydent Martin Caravano i George Cogar. Prezydentowi wręczyłem piękny komplet kieliszków kryształowych w srebrnych oprawkach, zapakowanych w drewnianym pudle, inkrustowanym żelazem, dzieło polskich rzemieślników. Trzymałem fason, że nie pochodzę z biednego kraju i chyba nie zrobiłem wstydu Cogarowi. George powiedział mi, że w USA nie można funkcjonować bez samochodu i dlatego pożycza mi auto, którym okazało się być Porsche Targa 911, w którego bocznej kieszeni znalazłem pistolet (do obrony właściciela). Tak więc z restauracji do domu (wynajętego od uczelni domku) wróciłem stylowym Porsche ku zaskoczeniu sąsiadów, a najwięcej moim.

Na uczelni powierzono mi wykłady z programowania komputerów. Moje wykłady musiały być dostosowane do charakteru uczelni, który kształcił studentów w naukach humanistycznych (tzw. *liberal arts college*), a nie w dyscyplinach zawodowych. Dopiero po skończeniu uczelni typu Hamilton, absolwenci udają się na studia prawnicze i medyczne, które mają w USA najwyższy status.

Życie na takiej uczelni było dla mnie jak w bajce, byliśmy z żoną zapraszani na częste przyjęcia urządzone przez prezydenta (rektora) i profesorów, na których byłem swego rodzaju „ciekawostką” zza Żelaznej Kurtyny i do tego dobrym tenisistą. W okolicy żyło wielkie skupisko Polaków, którzy osiedlili się tu po zakończeniu robót publicznych na początku XX w. nad kopaniem kanałów łączących rzekę Hudson z Wielkimi Jeziorami. Chociaż Hamilton był za drogi dla tutejszych Polaków-studentów, to jednak pracowało w nim kilku Amerykanów polskiego pochodzenia, którzy od razu zainteresowali się nami. Z miejsca zaprzyjaźniłem się z Kenem Kogutem, dyrektorem Programu Pomocy Finansowej dla studentów, który wprowadził nas do jego licznej i szlachetnej rodziny. Chodziliśmy razem na lunch i graliśmy w tenisa oraz gadaliśmy o Polsce, której Ken był bardzo ciekaw. Córka jego brata Freda, Nina wyjechała nawet na dwuletnie studia do Krakowa na Uniwersytecie Jagiellońskim, a matka — Irena odbyła pielgrzymkę w rodzinne strony w Polsce.

Oczywiście George Cogar nie omieszkiał wprowadzić mnie do tutejszej Polonii, bowiem wiedział, że będą ciekawi moich opowieści z Polski. Kiedy nasi ziomkowie dowiedzieli się, że jestem protegowany przez najbogatszego Amerykanina w okolicy, tym bardziej byli ciekawi mojej osoby i rodziny. Odtąd wieczory były pełne spotkań z miejscowymi Polakami, którzy prześcigali się w gościnności i opowiadaniach o swoich losach, a losy mieli bardzo trudne, jak przystało na Polaków-patriotów.

Zaprzyjaźniłem się ze Staszkiem Opalką, profesorem historii na sąsiednim Utica College i najlepszym golfistą w okolicy. Był ożeniony z piękną Amery-

kanką Sally, walijskiego pochodzenia, nauczycielką angielskiego. Dwie ich piękne córki Barbara i Elizabeth zdobywały tytuły „miss stanu”. Status najlepszego golfisty otwierał mu drzwi do ekskluzywnych klubów, gdzie oczywiście i nas wciągał. Warto zauważyć, że gdyby nie golf, to przeciętny Polak nie miałby wstępu do tego typu klubów. W jednym z takich klubów, bawiliśmy się w noc Sylwestrową 1974/75 w tak melodii „Moja droga ja cię kocham” śpiewanym chłopskim akcentem przez Boba Vintona. Był to przebój ogólnoamerykański, którego część była śpiewana po polsku, ponieważ śpiewał je „*Polish Prince*” („Polski Książę”) przeto „darowano” mu to. Środowisko wspomnianego klubu, my Polacy w nim i do tego ów polski przebój sprawił, że mieliśmy łyzy w oczach, wtedy kiedy inni mieli iście szampański humor.

Staszek był pewny siebie, krótko „trzymał na smyczy” swoich partnerów, a po cichu szeptał mi „patrz Andrzej, ja prosty chłopak spod Przemyśla i zesłaniec na Syberii jestem tutaj”. Staszek specjalizował się w losach Tadeusza Kościuszki i kiedy pokazałem mu książkę Stefana Bratkowskiego o naszym bohaterze, ten powiedział, „ależ autor mało wie o Kościuszcze, musi przyjechać do Ameryki i poznać to czego on tu dokonał”. Powiedziałem mu „to go zaprosz”. I tak Stefek przyjechał do Utica na 3 miesiące, skąd pojechał ze Staszkiem do West Point, gdzie do dzisiaj stoi fortyfikacja zbudowana przez późniejszego wodza Insurekcji. Fortyfikacja ta uchroniła Fort przed atakiem Anglików. Z dumą opowiadał mi potem o tym prof. Daniel Lityński, były kierownik katedry Informatyki, w randze generała, na tej ekskluzywnej, wojskowej uczelni. W wyniku pobytu w USA, Bratkowski wydał książkę „Oddalający się ląd”. Wtedy Ameryka była „oddalającym się lądem”. Szczęśliwie po 1989 r. jest już „przybliżającym się lądem”. W książce tej Stefan mile mnie wspomina.

Polonia chciała postawić pomnik Kopernika w Utice, zebrała nawet pieniądze i załatwiła kontrakt z polskim rzeźbiarzem, który był tak „wziętym i zajętym”, że zapomniał o swym zamówieniu. Wszyscy byli rozżaleni i nawet stracili już nadzieję, że będą mieli pomnik albo odzyskają pieniądze. Znając stosunki w PRL, napisałem odpowiednie memoriały do władz, ale nie w uprzejmym tonie Polonii, lecz w ostrym tonie, typowym dla PRL. Jeden list wysłany do ministra Kultury Teichmy poskutkował i nawet Ministerstwo pokryło koszty transportu sprowadzenia pomnika. I dzięki temu pomnik naszego Wielkiego Astronoma stoi w centrum miasta, przypominając innym, patrzcie „Polak potrafi, poruszył Ziemię”. Oczywiście muszę nadmienić, że jednym z głównych inicjatorów budowy pomnika był Staszek Opalka. Staszek mało mówił o Ameryce, zawsze martwił się o Polskę, bowiem jak większość z nas był i jest „chory na Polskę”. Po 1989 r. jeździ często do Kraju i promuje grę w golfa, ogrywając wszystkich, którzy dopiero raczkują w tym bardzo trudnym sporcie.

Życie Polonii wówczas było bardzo urozmaicone, spotkania — kolacje w klubie kombatanatów, występy artystów z Polski, potem wspólne z nimi kolacje, polskie msze i okolicznościowe zebrania polityczne, na które nas zapraszano i sadzano w prezydium. Rozmowy o Polsce były wokół sowieckiej okupacji (*by*

proxy) i beznadziejności sytuacji. Wprawdzie w latach 1974/75 była już Odwilż w stosunkach Wschód-Zachód, ale Pakt Warszawski był u szczytu, bo nie było żadnych widoków na wyzwolenie Polski. Kiedy na stałe wyemigrowałem do St. Zjednoczonych w 1980 r. sytuacja zmieniła się, wyraźnie wyzwolenie Polski było już w zasięgu ręki i Polonia od analizy przeszła do aktywnego protestu i współdziałania z opozycją w Kraju.

Prócz tych licznych spotkań na uczelni i wśród Polonii, byliśmy regularnie zapraszani do posiadłości Cogarów, gdzie roztrząsaliśmy sprawy informatyki światowej, czasem z udziałem wybitnych amerykańskich informatyków, np. klasy Herberta Groscha (autor prawa Groscha), których George zapraszał i sprowadzał z różnych części Ameryki. Była to dla mnie świetna szkoła biznesu informatycznego, uczyłem się wiele, jakby z pierwszej ręki. Oczywiście od czasu do czasu sami musieliśmy urządzać skromne przyjęcie u siebie w domu, aby zrewanżować się liczным przyjaciołom.

Myliłby się, kto by myślał, że czas mijał mi na spotkaniach i kolacjach; naprawdę zawsze nękała mnie myśl „co dalej?”. Zostać czy wracać do Polski? Jako informatyk myślałem logicznie, że przecież zarzuty wobec mojej osoby w Kraju są bezpodstawne i będzie mi dane pracować w informatyce zgodnie z moimi kwalifikacjami, które były tak potrzebne wówczas w Polsce. Podjąłem decyzję powrotu, ku dużemu zdziwieniu tutejszych przyjaciół, włącznie z Cogarem. Przed wyjazdem załatwiłem sobie przeszkolenie w firmie IBM w Instytucie Nauk Systemowych w Nowym Jorku. Kursy były przeznaczone dla liderów informatyki z wielkich korporacji, miały świetnych wykładowców. Wziąłem kursy z projektowania systemów i kierowania projektami. Sam dałem seminarium na temat polskiego Krajowego Systemu Informatycznego. Jeden z wykładowców podchwycił ideę KSI i po latach powiedział mi, że sprzedał ją w ramach usług doradczania władzom Singapuru. Jak wiadomo, kraj ten jest najbardziej z informatyzowanym państwem na świecie i to chyba wg. polskiego modelu.

W sierpniu 1975 r. wróciliśmy do Polski. Największą korzyść z pobytu w USA wyniósł nasz syn Staś, który w amerykańskiej szkole nauczył się mówić biegle po angielsku. Ja też podciągnąłem swój angielski, ale najważniejszy zysk był w otrząśnięciu się z syndromu KBI i KSI oraz odzyskaniu zdolności do dłuższego skupienia się nad jednym tematem. Dotąd bowiem cierpiałem na typową chorobę menadżera, który na nic nie ma czasu i nad niczym nie może się skupić na dłużej. Na drogę, George Cogar, prócz „kanapek”, ofiarował mi swój mini-komputer COGAR 1500, abym miał na czym pracować w Polsce. Miał być wysłany do Polski po zatwierdzeniu daru przez SGPiS.

Z naszymi oszczędnościami, wróciliśmy do Kraju przez Danię i Szwecję, gdzie odwiedziliśmy przyjaciół. Wróciliśmy pełni nadziei, ale jak się później okazało, złudnej. Miecz Damoklesa ciągle wisiał nade mną.

Śmierć Mamy

Po powrocie zastałem Mamę Halinę w złym stanie zdrowia. Przejścia w czasach Rewolucji Bolszewickiej, w okresie Okupacji Niemieckiej, a zwłaszcza w Powstaniu Warszawskim, zmagania z wdowim losem w PRL po egzekucji, Taty w Niemczech, wszystko to sprawiło, że Mama miała nadszarpnięte nerwy, paliła trzy paczki papierosów dziennie, które Ją w końcu zabiły. Raptem dostała ataku duszności, wezwałem karetkę pogotowia, ale ta nie przyjeżdżała przez dwie godziny, więc zniosłem Mamę do mojego malutkiego fiata 126p. i zawiozłem do wojskowego szpitala przy ul. Szaserów. Tu na izbie przyjęć, gdy rozebrano Mamę, dyżurny lekarz zdziwił się skąd u Mamy tyle ran w przestrzelanych ramionach i piersiach. Mama z dumą odpowiedziała „to rany z Powstania Warszawskiego”. Były to czasy pokoju i lekarz w tym wojskowym szpitalu już dawno nie widział tak ранego z czasu wojny pacjenta. Szpitale wojskowe odegrały ważną rolę w Mamy życiu, w jednym w al. Ujazdowskich urodziła mnie, a zatem pośrednio KSI i INFOSTRADĘ, a teraz w innym zakończyła życie. Były określone powody dla których Mama korzystała z wojskowych szpitali.

Nad ranem 15 listopada 1975 r. Mama zakończyła swe dzielne i trudne życie. W czasie pogrzebu, działacze z Klubu Gross-Rossen okryli trumnę polską flagą, a Mietek Mołdawa wygłosił piękne przemówienie o dziewczynie, która przywędrowała znad Dniepru do Warszawy, gdzie poświęciła się patriotycznej działalności.

Ze śmiercią Mamy, którą Staś nazywał Bunią, zamknął się za mną czas kresowej, szlacheckiej tradycji, którą kultywowała Mama i jej liczna rodzina, m.in. w postaci „kuti” na wigilię i gościnności otwartej dla każdego. Skończyły się Mamy opowieści o życiu w majątku Kuciarzyńce i Bortniki k/Winnicy i jazdach na kucykach i Jej lekcjach jazdy konnej pod Warszawą dla mnie. Skończyły się także wspomnienia o jej przodkach, sięgających po kądzieli do kasztelana na dworze księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, srogiego władcy polskiej Ukrainy Zadnieprzańskiej. Skończyły się opowieści o balach na Zamku i kolacjach w „Adri”. Skończyły się opowieści o piciu szampana z pantofelka Mamy przez jej wielbicieli. I tańczeniu „kozaka”. Skończyły się opowieści o moim Tacie, którego nazywała Stachurkiem i z którego była bardzo dumna, i z którym pożycie małżeńskie tak okrutnie przerwała wojna.

Opowieści tych jak każde „dziecko” nie słuchałem chętnie, rwąc się do bieżących zajęć. Teraz żałuję, bo chciałbym o nich wiedzieć więcej, a już tego mi nikt nie powie. Co ciekawe, moje dzieci mają ten sam stosunek do moich opowieści. Kiedyś będą żałować, że nie słuchały ich do końca. My Polacy jeśli chcemy być wreszcie normalnym społeczeństwem, musimy zacząć dbać o tradycję, tak jak to robią Anglicy, którzy od prawie 1000 lat strzygą ten sam trawnik przed domem.

Mamie zawdzięczam wszystko, zwłaszcza nacisk abym ukończył Politechnikę, wtedy kiedy było nam ciężko materialnie i mogłem zbyt wcześnie podjąć pracę zarobkową. Najbardziej jestem Mamie wdzięczny za jej wychowanie

w duchu patriotycznym i w wierze katolickiej naszego Kościoła oraz w szacunku dla mojego bohaterskiego Taty. Mama była cichą bohaterką, typową Polką-matką, a Matki-Polki dźwigały Polskę, gdy jej nie było na mapie, a ich mężowie i synowie ginęli w nierównej walce za nią. Istnieje powiedzenie, że gdy umiera ostatni rodzic, wtedy stajemy się dorosłymi. Tak więc w 1975 r. stałem się „dorosłym”, ten stan psychiki był mi bardzo potrzebny, bowiem czekały na mnie coraz większe wyzwania. Rozwód z żoną Alą, narastające szyskany zawodowe w PRL, drugie małżeństwo z Irminą, przyjscie na świat drugiego syna Jacka, objęcie opieką Agnieszki, córki Irminy, wyjazd do Meksyku i ucieczka do Stanów Zjednoczonych, kara śmierci oraz rozpoczęcie tamże nowego życia. Wystarczy?

Szykany z habilitacją

Nie zostałem w Ameryce, bowiem chciałem pracować dla dobra Polski, tyle tylko, że byłem naiwny i nie w pełni zdawałem sobie sprawę, że nie była to Polska a PRL, kraj totalitarny a przez to nienormalny. W normalnym, czyli demokratycznym i kapitalistycznym kraju specjalista mojego typu ma własny biznes i pracuje dla siebie, nie oglądając się na administrację państwową i politykę. Polityka interesuje go głównie w zakresie skali stosowanych podatków, które chce aby były jak najmniejsze. Niestety w PRL nie było klimatu dla rozwoju prywatnych biznesów, jedynie pozwalano na drobną produkcję warzyw, przez tzw. „badylarzy” i handel odzieżą w „pawilonach” przez tzw. „prywaciarzy”. Tak więc byłem zdany na łaskę państwa, które było właścicielem wszystkich biznesów, włącznie z informatycznymi.

Muszę wspomnieć, że od 1965 do 1971 roku kierowałem pierwszym centrum obliczeniowym w Polsce, ZETO-ZOWAR, które przynosiło zysk. Pisał o tym nawet amerykański tygodnik „Newsweek”, Zysk ten nie szedł do mojej kieszeni, a do państwowej beczki bez dna. Potem przyczyniłem się do rozwoju sieci ZETO, która w swym szczycie zatrudniała 5,000 informatyków w 50 usługowych centrach obliczeniowych we wszystkich miastach wojewódzkich. Tak więc umiałem zamienić usługi informatyczne na pieniądze i to wcale nieźle tyle tylko, że nie moje a państwowe. W USA, podobna sieć EDS, była własnością Ross Perota, który szybko dorobił się 3 miliardów dolarów. Zresztą już w III RP, drugim najbogatszym Polakiem jest Ryszard Krauze, który właśnie powtarza model ZETO, tylko moim zdaniem mniej fachowo. Świadczy o tym kryzys systemu informatycznego w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych w 1999 r., który jest rozwijany przez jego firmę Prokom.

Do Polski wróciłem za wcześnie, bowiem w 1975 r. Nie było jeszcze szans na prywatne firmy typu ZETO także nie było szans na wykonywanie mojego zawodu informatyka, bowiem profesorowie Straszak i Kulikowski czuwali nad tym, abym wybił sobie z głowy mój zawód.

Po praktyce wizytującego profesora na amerykańskiej uczelni, myślałem, że dane mi będzie rozpocząć pracę na polskiej uczelni i kształcenie polskich infor-

matyków. Swego czasu otworzyłem przewód habilitacyjny na mojej macierzystej Politechnice Warszawskiej i zaraz po powrocie miałem w październiku 1975 r. jego obronę na Wydziale Mechaniczno-Technologicznym. W międzyczasie mój opiekun prof. Z. Żbichorski zebrał pozytywne recenzje trzech moich książek. Doktorat polega na rozwiązaniu jednego ważnego problemu i opracowaniu wkładu do nauki w postaci sformułowania prawa, zasady, reguły czy pewnego trendu. Doktorant musi wykazać w swej pracy doktorskiej znajomością naukowo-badawczego warsztatu polegającego na postawieniu hipotezy (lub hipotez) i jej udowodnieniu, a potem uogólnieniu wniosków. Natomiast praca habilitacyjna polega na wykazaniu, że naukowiec ma opanowaną całą dziedzinę określonej wiedzy. Często praca habilitacyjna polega na sformułowaniu nowej dziedziny i może mieć charakter monograficzny.

W tym kontekście przedstawiłem trzy moje książki, nawiasem mówiąc pierwsze na ten temat w Polsce, które definiowały dziedzinę „organizacji przetwarzania danych (OPD)”. Od tytułu jednej z moich książek powstał wówczas na polskich uczelniach klasyczny przedmiot wykładowy o takiej właśnie nazwie OPD. Książki te były na następujące tematy: „Organizacja Ośrodków Obliczeniowych” (Wyd. Komunikacji i Łączności 1971), „Automatyzacja Przetwarzania Danych” (PWE 1973), „Organizacja Procesu Przetwarzania Danych” (PWE 1975). W praktyce owe trzy książki wystarczyłyby na trzy prace habilitacyjne, zwłaszcza w dziedzinie, w której nie było jeszcze innych prac na ten temat w Polsce. Szczególnie ceniłem sobie książkę na temat „Organizacji Ośrodków Obliczeniowych”, w której zastosowałem teorię procesu produkcyjnego opracowaną przez prof. S. Chajtmmana do organizowania procesu przetwarzania danych. Oczywiście miejscem tego procesu nie była fabryka przemysłowa, a fabryka „informacji”, jaką jest duży ośrodek obliczeniowy. Moja wieloletnia organizatorska praktyka w ośrodku ZETO-ZOWAR nadała mojej naukowej metodzie bardzo praktyczny charakter. Książka ta była szeroko stosowana przez projektantów ośrodków obliczeniowych w licznych polskich biurach projektowych. Śmiem twierdzić, że po 30 latach od opublikowania tej książki nie powstała dotychczas podobna praca nie tylko w Polsce, ale i w świecie, choć wkraczamy już w XXI w., w którym Fala Informacyjna załaziła Falę Przemysłową w naszej cywilizacji.

Obrona pracy habilitacyjnej na moim macierzystym Wydziale zakończyła się pozytywnym głosowaniem i jak to ma miejsce w obronie doktoratu, takie głosowanie powinno być ostateczne. Niestety w PRL tak nie było, można było puścić na żywioł decyzję przyznania doktoratu, ale nie habilitacji. Bowiem ta ostatnia nobilitowała naukowca i otwierała mu drogę do kariery naukowej na wyższych uczelniach, czyli do kształtowania umysłów młodzieży w totalitarnym państwie. Do tego zadania dopuszczano tylko „sprawdzonych” naukowców, zwłaszcza w naukach społecznych, do jakich wówczas, a chyba i teraz zalicza się informatyka. Warto zauważyć, że w latach 50. wyrzucono z uniwersytetów przedwojennych profesorów filozofii (bowiem nie byli marksistami), a w 1968 r.

zlikwidowano na niektórych uczelniach, w tym na prestiżowym Uniwersytecie Warszawskim, katedry filozofii, ponieważ wykładowcy byli „niepewni” i krytykowali filozoficzne podstawy „socjalizmu realnego” oraz nawoływali do powrotu do „socjalizmu naukowego”.

W celu kontroli dopływu kadr profesorskich na uczelnie PRL została utworzona Centralna Komisja Kwalifikacyjna, tzw. „CKK”, sterowana przez Wydział Nauki Komitetu Centralnego Partii. W praktyce był to sąd kapturowy, który eliminował w zarodku kariery ludzi „nieposłusznych” i „reformatorskich”. W CKK zasiadał oczywiście prof. A. Straszak, z-ca kierownika Wydziału Nauki KC, który zadbał, aby moja habilitacja nie została zatwierdzona przez CKK. W Komisji tej panował taki zwyczaj, że obronioną pracę habilitacyjną poddawano jeszcze raz ocenie i na jej podstawie podejmowano decyzje. Oczywiście zainteresowany naukowiec nie był zapoznawany z opiniami i nie miał szansy na polemikę z nimi. Straszak postarał się o opinie automatyka i konstruktora obwodów elektronicznych oraz u J. Kulikowskiego. Specjalności owych opiniodawców miały się tak do mojej specjalności jak konstruktor silników spalinowych do organizatora transportu. Pomijając ten merytoryczny aspekt, CKK w sytuacjach podobnych do mojej, po prostu „zamawiała” opinie, które pisano z nadzieją na nagrodę, czyli jakieś tam „okruczy” z pańskiego stołu. Do takich „okruczów” można zaliczyć było otrzymanie nominacji na kierownika katedry, na rektora lub prorektora, dziekana, na członka jakiejś ważnej komisji lub na lukratywny wyjazd zagraniczny, itp.

Warto zauważyć, że CKK została zlikwidowana w III RP. W Stanach Zjednoczonych w ogóle nie ma stopnia naukowego doktor habilitowany, ponieważ praca nad habilitacją zabiera najlepsze lata naukowca, wkleja go często w „sztuczne” teorie, a co gorsze w politykę nie narażania się autorytetom, które mogą potem oceniać pracę. Dzięki temu Amerykanie otrzymują największą liczbę nagród Nobla oraz zdecydowanie przewodzą w Rewolucji Naukowo-Technicznej w świecie. Tytuł doktora habilitowanego ma swe źródła w sowieckim feudalizmie, który z habilitowanej profesury robił „święte krowy”, w rezultacie często naukowo bezpłodne i manipulujące rozwojem młodych kadr naukowych, gdzie nieraz wstrzymywano rozwój najzdolniejszych, ponieważ ci stanowili zagrożenie dla „autorytetów”. Przykład „CKK” jest tu najlepszym dowodem.

Prof. Janusz Groszkowski, były prezes PAN tak scharakteryzował polskich naukowców: „Mamy 50 tysięcy samodzielnych pracowników nauki, a mimo to Polska zmuszona jest kupować za granicą takie odkrycia, jak klej do znaczków pocztowych. Mamy pracowników nauki, którzy umieją zagajać, przydykować, ukierunkowywać i podsumowywać, ale którzy nie umieją twórczo pracować. Wśród pracowników nauki szerzy się plagiatowanie prac, nieuctwo i nieróbstwo. Nastąpiła groźna dewaluacja stopni i tytułów naukowych, spowodowana masowym ich nadawaniem osobom nie posiadającym kwalifikacji etycznych lub zawodowych. Nie mamy wielkich nazwisk, nie mamy wielkich osiągnięć i nie mamy szans na zmianę tego stanu rzeczy. ...Członkom Polskiej Akademii Nauk, a zwłaszcza jej



Prezydium dobrze są znane przypadki represjonowania pracowników nauki, usiłujących przeciwdziałać nadużyciom. Wnioskuje o powołanie, co roboczo nazwałbym „Sądem Dyscyplinarnym Uczonych” i powierzenie mu przeprowadzenia weryfikacji pod względem etycznym i zawodowym tej części kadr, która dopuściła się nadużyć lub która nie posiada kwalifikacji. ...Nieuczciwość jest rakiem toczącym organizm polskiej nauki. Chorobę tę trzeba usunąć operacyjnie, powierzając to zadanie powoływanemu Sądowi. Będzie to największy wkład polskiej nauki w dzieło odnowy kraju”. (Urywki z wystąpienia na Zgromadzeniu Ogólnym PAN w dniu 23 października 1980 r.)². Słowa te padły z ust Janusza Groszkowskiego — pioniera radiotechniki i telekomunikacji w Polsce, który m.in. rozpracował przechwycony model rakiety V2 i przekazał projekt Anglikom, a także który opublikował ponad 350 prac naukowych. Trudno znaleźć lepszego opiniodawcę polskiej nauki i autorytet moralny.

Moja skromna osoba jest ofiarą tego nieetycznego postępowania niektórych pracowników nauki całkowicie zawodowo bezpłodnych, ale za to zazdrosnych.

Szykany w SGPiS

Po powrocie do Polski, wróciłem do SGPiS do Katedry Ekonomiki Produkcji, gdzie niestety życzliwy mi prof. Jerzy Lisikiewicz stracił Katedrę na rzecz prof. Kierczyńskiego. Nowy szef katedry był doradcą Przewodniczącego Komisji Planowania i czuł się bardzo pewnie, czego dowodem była polityka przeorganizowywania większości wykładów na tematy związane z Wielkimi Organizacjami Gospodarczymi (WOG). WOGI były kolejną reorganizacją socjalistycznych koncernów, jakby lekarstwem na bolączki niereformowalnego Centralnego Planisty. Na zebraniu Katedry zwróciłem uwagę, że nie powinniśmy uczyć studentów według kolejnych „uchwał Partii” bowiem to nie jest wiedza, a propaganda. Nie przekonało to prof. Kierczyńskiego, który specjalizował się w finansach socjalistycznych i nie miał pojęcia o ekonomice produkcji, czyli dziedzinie w której specjalizowała się Katedra. Nawet gdyby znał się, to by i tak optował za kształceniem specjalistów od WOGÓW, ponieważ jako doradca wicepremiera, realizował jego pomysły i mógł liczyć na jego względy.

Na jednym z zebrań Katedry, ni stąd ni zowąd zostałem dosłownie zaatakowany, jak to się mówi „poniżej pasa” przez dr. Mściwoja Muszyńskiego, że „moje idee informatyczne nie mają sensu”, który zaczął cytować wyrwane zdania z moich publikacji. Było to bardzo nietypowe zachowanie na zebraniu katedry, nawet jak na warunki PRL, gdzie starano się o zachowanie dobrych manier akademickich i trudne sprawy załatwiano w „rękawiczkach”. Spojrzałem się na prof. Kierczyńskiego, ale jego kamienna twarz powiedziała mi, że Muszyński zaatakował mnie w uzgodnieniu z nim. Najwyraźniej Muszyński działał na czy-

² „Zadanie stworzenia Dyscyplinarnego Sadu uczonych w Polsce”, *The Polish Daily News*, 5 stycznia 1981 r. Londyn.

jeś polecenie z „góry”, kto wie czy Straszaka, czy służb specjalnych. Zaraz po powrocie, spotkał się ze mną agent MSW, opiekun SGPiS, który badał mnie, czy czasem nie powróciłem jako „agent CIA”. Zresztą potem kilka razy zetknąłem się z opinią, że mam wkrótce zostać aresztowany. Nic takiego nie nastąpiło, ale plotka robiła swoje.

Polemika naukowa z Muszyńskim nie miała sensu, ponieważ był on elektronikiem, który przeszedł z Politechniki Warszawskiej do SGPiS, gdzie liczył na szybszą karierę naukową. Był „technikiem”, który liczył, że ekonomiści na SGPiS nie znają się na „komputerach”, i że cokolwiek powie będą go słuchać. Ja natomiast reprezentowałem informatykę zastosowaniową, gdzie znajomość procesów info-gospodarczych jest kluczem do rozwiązań, natomiast nie liczba „bramek logicznych” w układach elektronicznych. W tej mojej specjalności Muszyński raczkował i był ignorantem. Niestety nie mogłem mu tego powiedzieć wprost, tym bardziej, że Muszyński dla dodania sobie naukowego animuszu zapuścił sobie brodę i wyglądał jak poważny profesor. Nie mogłem zrozumieć jego metamorfozy, przecież jeszcze jak byłem w St. Zjednoczonych i on też, wtedy miał staż na *Cornegie Melon University* w Pittsburgu, to składał mi na piśmie „sprawozdania” ze swoich spostrzeżeń. Najwyraźniej zależało mu na dobrych stosunkach ze mną. Po powrocie nas obu do Kraju, „zdradził” mnie i wskoczył na moje „pochyłe drzewo” w celu robienia własnej kariery m.in. moim kosztem. Nie on jeden.

Oczywiście w tej sytuacji Muszyński, wówczas odpowiedzialny w naszej katedrze za informatykę, nie dopuścił do zaakceptowania daru George’a Cogara dla SGPiSu. Inaczej minikomputer Cogar 1500 służyłby moim pracom, a to oznaczałoby moją stabilizację na uczelni. W warunkach braku dobrych komputerów w kraju była to decyzja wysoce nie patriotyczna i samolubna.

Szykany na Politechnice Świętokrzyskiej

Sytuacja była jasna dla mnie, znów „ktoś” zadbał o to bym nie miał pracy na SGPiS. W tej sytuacji załatwiłem przeniesienie na Politechnikę Świętokrzyską do filii w Radomiu, gdzie mieszkali moi bardzo życzliwi teściowie Stefan i Waleria Kostańscy. Po pół roku dojeżdżania do Radomia, przestano mi wypłacać pensję. Na moje pytanie dlaczego, powiedziano mi, że nadszedł list z Komitetu Informatyki, przestrzegający przed współpracą ze mną. W tym czasie sekretarzem owego Komitetu (powstałego z reorganizacji Krajowego biura Informatyki) był prof. J. Kulikowski. A więc „kółko zamknęło się”. Na prowincji „bano się” Warszawy i w mig domyślono się o „co tu chodzi”, wstrzymując mi wypłatę dochodów.

Szykany prof. Pawła Bożyka, doradcy I sekretarza

Żeby przestano znęcać się nade mną udałem się z interwencją do najwyższych władz, czyli do Komitetu Centralnego PZPR, a konkretnie do szefa doradców

I Sekretarza, prof. Pawła Bożyka, który dobrze znał moją sprawę, ponieważ doradzał, jak zlikwidować program KSI/INFOSTRADY. Bożyk był bardzo młody, jako sierota z domu dziecka był przykładem pracowitości, która zaprowadziła go do tytułu profesora. Gierek wyciągnął go z SGPiSu, bowiem, nie miał zaufania do tzw. „starych” profesorów i dał szansę młodemu profesorowi, niezblazowanemu atrybutami totalitarnej władzy. Irzeczywiście Paweł Bożyk okazał się skromnym i miłym człowiekiem, któremu żal się zrobiło mnie. Może wynikało to z faktu, że sam lubił grać w tenisa, która to gra uczy *fair play*. Jednym słowem chciał mi pomóc. Na przykład uzgodnił z Jerzym Hukiem, dyrektorem MERY, że ten przyjmie mnie do pracy w przemyśle informatycznym. Jak przystało na lisie metody Huka, ten zgodził się na to, ale nie przyjmował moich telefonów. Więc nic z obietnicy nie wyszło. Wtedy Bożyk uzgodnił z ministrem A. Kopciem przyjęcie mnie do Instytutu Organizacji Przemysłu Maszynowego — ORGMASZU. Obietnica została dotrzymana, o czym dalej.

Prof. Bożyk pomógł mi także w opublikowaniu książki INFORMATYKA, Modele Systemów i Rozwoju (PWE 1980). W PRL wydawnictwo nie mogło zawrzeć umowy wydawniczej bez zgody Centralnego Zarządu Wydawnictw (CZW), które pełniło pewnego rodzaju cenzurę określonych autorów, podobną do wspomnianej CKK. Nic dziwnego, gdy mój dotychczasowy wydawca Państwowe Wydawnictwa Ekonomiczne wysłały umowę ze mną do tej instytucji, CZW nie zatwierdził jej. W owym czasie doradcą d/s informatyki (z sugestii KC) CZW był doc. Roman Kulesza, o którym wiele pisałem w rozdziale na temat Krajowego Biura Informatyki. Było dla mnie jasne, kto zatrzymał moją książkę. Otóż prof. Bożyk był w stanie zmienić decyzję CZW. Książka ta była dla mnie bardzo ważna, bowiem zdefiniowałem w niej dość obszernie dyscyplinę informatyki, jej historię w Polsce i w świecie oraz prace nad KSI i INFOSTRADĄ. Oczywiście środowisko Straszaka-Kuleszy chciało nie dopuścić do opublikowania prawdy o naszych pracach nad krajowymi systemami informatycznymi. Podobnie, jak Kulesza nie chciał publikowania statystyki z wykorzystania minikomputerów K202 (konstrukcji Jacka Karpińskiego), w której to sprawie osobiście do mnie telefonował do KBI. Lenin pewnie cieszył się w grobie, że Kulesza tak uparcie wdraża do praktyki sławne hasło mówiące, że „komunizm to elektryfikacja plus statystyka”. Oczywiście trzeba dodać, że „sfalszowana statystyka”.

Pomimo pozornie życzliwego stosunku prof. Bożyka do mnie, doradca ten nie tyle szyskanował moją pracę, co zwalczał ją z wielkim „naukowym” zacięciem. W kilku rozmowach ze mną Bożyk uparcie popierał działania Straszaka i Kulikowskiego, a także Kuleszy. Widocznie dał się przekonać, że KSI/INFOSTRADA są złym rozwiązaniem. Nie wiem, czy to jego stanowisko wynikało tylko z podejścia partyjnego, czyli ochrony decyzji aparaczyków przed ingerencją zobiektywowanej informacji przetworzonej przez komputery. Gdyby tak było, to nie miałbym do niego pretensji, gdyż jako członek aparatu Dyktatury PRL powinien najpierw dbać o jej interesy. Gdyby jednak jego opinia o KSI/INFOSTRAD-

DZIE wynikała z faktu, że jest to „za drogie” rozwiązanie to uważam, że popełnił duży błąd. Bowiem model żywiłowego rozwoju informatyki był jeszcze droższy, a przyszłość wykazała słuszność idei KSI i INFOSTRADY. W tym przypadku młody wiek Doradcy i brak gospodarczego doświadczenia był tu przeszkodą. Prawdopodobnie oba czynniki wchodziły w grę, o czym się już nie dowiemy.

Po upadku Gierka i odejściu Bożyka ze stanowiska szefa doradców I sekretarza, Profesor wydał książkę „Marzenia i rzeczywistość” (PIW 1983), w której bronił swojej polityki gospodarczej, czemu się nie dziwię, bowiem był osobą ambitną i w przekonaniu wielu uczciwym, choć niedoinformowanym. Kto nie chce bronić swych idei? Ja sam to robię w tych wspomnieniach. Nawet tak zakłamanym Edward Gierk napisał książkę pt. „Niedokończona dekada”. Jakby z tego miało wynikać, że miał pomysł na jej dokończenie, tylko „ktoś” (czyli społeczeństwo w pamiętnym Sierpniu 1980 r.) mu na to nie pozwolił. Prawda jest taka, że Gierek zmarnował pożyczki Zachodu z początku lat 70. i potem nie wiedział co robić dalej? Otóż w przypadku obrony Bożyka, ten niestety podał w swej książce, że jedną z głównych przyczyn upadku PRL były wydatki na informatykę, jakie ja forsowałem, m.in. kupując komputery na Zachodzie, a nie na Wschodzie, czy z krajowego ELWRO. Jest to nieprawda, a gdyby była to prawda, to powinienem być z tego dumny.

Redakcja POLITYKI opublikowała fragmenty wspomnianej książki w artykule pt. „Informatyczne Cuda”, (11.IV.1983). Autor poddał druzgocącej krytyce rozwój informatyki w latach 1971-74, wymieniając mnie jako sprawcę tego stanu. Niestety ze zdziwieniem przeczytałem, jak były doradca dworu Dyktatora miał fałszywe informacje o informatyce i jej modelu. Jego zarzut, że program rozwoju informatyki był adaptacją koncepcji kapitalistycznych jest raczej pochwałą, bowiem model kapitalistyczny jest bardziej racjonalny od modelu centralnego planisty. Model zaproponowany przez KBI sugerował racjonalność gospodarczą.

Na ten fałszywy obraz informatyki odpisałem już ze Stanów Zjednoczonych w polemicznej odpowiedzi „Niby to rozwój” (POLITYKA 29.X.1983 r.). W tym samym numerze (i to bardzo dobrze) umieszczona została odpowiedź Bożyka pt. „Nożyce”. Nie chcę się wdawać w szczegóły tej polemiki, zainteresowanych odsyłam do POLITYKI. Uderza w ocenach prof. Bożyka-doradcy wnioskowanie na podstawie fałszywych danych. Jest to główna choroba Centralnego Planisty, który niby wie „wszystko”, a tak naprawdę nie wie o co chodzi i na tej podstawie podejmuje decyzje.

Na przykład pisze w swej odpowiedzi, że w latach „siedemdziesiątych zostałem wysłany do Stanów Zjednoczonych przez jedną z central handlu zagranicznego”. Podczas gdy prawdą jest, że dopiero w 1980 r. uciekłem w sierpniu do Stanów Zjednoczonych z Meksyku (do którego przyjechałem w styczniu 1980 r.), gdzie pracowałem na uczelni i musiałem 25% niskiej pensji płacić do kasy „Polservisu”, który eksportował nadwyżkę polskiej inteligencji. Niby to

jest drobiazg, niewart uwagi działacza tak wysokiego szczebla, ale charakteryzujący jakość jego „danych”. Bożyk pisze, że pojechałem na „saksy dolarowe”. Oczywiście tak, ponieważ nie dano mi pracować w Polsce. Bożyk chwali Komisję Partyjno-Rządową Jagielskiego, że dopiero ona podała kierunki rozwoju systemów zastosowań, podczas gdy Krajowe Biuro Informatyki zajmowało się rozdzielaniem sprzętu, a nie rozwojem zastosowań. Oczywiście nieprawda, bowiem właśnie KBI wylansowało KSI i INFOSTRADĘ i dlatego je rozwiązano. Autor posługując się tego rodzaju „danymi” wprowadza w błąd czytelników, decydentów, a myślę, że także i samego siebie.

Niski motyw finansowy dominuje w opinii Doradcy, np. zarzucając autorom, że za opracowanie Programu Rozwoju Informatyki wzięliśmy grube pieniądze, podczas gdy w praktyce opracowaliśmy go za darmo, społecznie w ramach Naczelnej Organizacji Technicznej, itp. Ponadto kole go w oczy fakt, że informatycy jeździli dużo za granicę i poznawali zachodnie komputery, a na boku dorabiali się z zachodnich diet. Płynie z tego jakby zazdrość, o dziwo u działacza państwowego najwyższego szczebla. Może chciałby, ażeby specjaliści projektowali skomplikowane systemy nowoczesnej cywilizacji, podobnie jak swego czasu projektował Tupolew swoje samoloty, siedząc w piżamie w ...więzieniu i nie pobierając za to pensji. Jak wiadomo samoloty tak projektowane miały potem największą liczbę katastrof.

W jego odpowiedzi najbardziej mnie zainteresowała informacja, że w połowie lat siedemdziesiątych powstał raport o stanie informatyki, napisany przez informatyków, „którzy lepiej niż Targowski rozumieli groźbę sytuacji”. W skład autorów tego raportu wchodził zapewne tacy „informatycy” jak Straszak, Kulikowski, Kulesza, Janicki, czy Turski. Wszyscy oni mieli bardzo małe wyobrażenie o procesach gospodarczych, a nawet o samej informatyce, zwłaszcza gospodarczej. Tylko Turski był zatrudniony w informatyce obliczeniowej, ale z wykształcenia był ...astronomem. Wykształceni w ZSRR lub w hermetycznym wojsku zazdrościli nam jeżdżącym na Zachód oraz tym, którzy umieli zaprojektować informatyczny system wspierający zarządzanie i zarobić na tym np. z funduszu prac zleconych. Po prostu chcieli nas usunąć i sami jeździć i projektować, ale zabrakło im znajomości języków obcych i kwalifikacji informatyczno-gospodarczych. Myślę, że prof. Bożyk nie zdawał sobie sprawy z niskiego poziomu wiedzy fachowej u wspomnianych referentów. Do niego przemawiały tytuły profesorskie, które akurat w informatyce są częstą przeszkodą. Wystarczy spojrzeć się na życiorysy informatyków światowej klasy, którzy założyli takie firmy jak Microsoft, Oracle, CISCO, czy Sun i którzy nawet nie ukończyli wyższych studiów.

Pomijając te w zasadzie mało ważne, choć znamienne szczegóły, prof. Bożyk stawia główną tezę, że nie rozumiałem, że „informatyka może dać pozytywne efekty tylko w zdrowym systemie społeczno-gospodarczym” oraz, że „informatyka może zastąpić nieodpowiedni mechanizm ekonomiczny, odwracając uwagę od zmiany tego systemu”. Otóż teza ta jest fałszywa. Doświadczeni organizatorzy systemów informatycznych zarządzania wiedzą, że taki system zmienia stary

system zarządzania, i wymusza nowy. Dlatego w stagnacyjnym systemie PRL nowoczesne systemy mogły spełnić rolę przysłowiowego „szczupaka” w stawie karpi i rozruszać całe „senne towarzystwo”. A przecież ta „senność polskiej gospodarki” było ponoć głównym zmartwieniem Doradcy. Jest to typowy problem z rzędu, co jest pierwsze „jajko czy kura?” albo problem „stawiania wozu przed koniem”. Najpierw muszą powstać systemy pilotowe i doświadczenia, a potem ich upowszechnienie w ramach wymuszonych zmian systemu ekonomicznego i zarządzania. P. Bożyk natomiast był utopistą, który marzył o sekwencyjnej zmianie całego systemu ekonomicznego a potem dopasowaniu do niego systemu informatycznego. Dlaczegoż więc go nie zmienił?

Wiadomo, system PRL był niereformowalny w ramach sterowanej dyskusji na plenach Partii, kiedy I sekretarz nie był politycznym koncepcjonistą, a kochał się w partyjnych ceremoniach tzw. „spotkaniach ze społeczeństwem” i miał doradców, którzy zazdrościli innym dobrych zarobków. Systemy pilotowe KSI miały właśnie spełnić rolę owego „szczupaka”. P. Bożyk zarzucał mi pośrednio, że forsowałem zakup komputerów z Zachodu. Tak forsowałem, bo żeby pilotowe systemy mogły prawidłowo funkcjonować, trzeba było je oprzeć na sprzęcie z Zachodu. Ponadto zakupy na Zachodzie łączyły się z przeszkoleniem kadry informatyków, która zaznajomiona z nowoczesnymi rozwiązaniami była owymi „szczupakami” w sennym stawie PRL. Moja osoba jest najlepszym przykładem i dowodem tej tezy. P. Bożyk niestety nie pisze, że tego władze obawiały się najwięcej. Młody, przeszkolony na Zachodzie specjalista był źle widziany w PRL, gdzie aby bardziej uspić społeczeństwo popierano pijaństwo. Pijanymi i ciemnymi ludźmi było przecież łatwiej rządzić.

Powyższa dyskusja ma rzekomo charakter sporu metodologicznego, ale tak naprawdę wskazuje, jak Doradca bez żadnej praktyki organizacyjnej w gospodarce źle doradzał. W cytowanej polemice jeden niby błahy szczegół kompromituje go całkowicie jako specjalistę gospodarczego, szczebla państwowego. W swych „Nożycach” pisze, że „Koszty eksploatacji „Wektora” w 1974 r. wynoszące 20 mln. zł. nie były dla A. Targowskiego zbyt wysokie; powinny być wręcz znacznie wyższe. To zależy od punktu widzenia. Te i inne koszty w sumie złożyły się na obecny stan gospodarki”. Otóż wówczas koszt eksploatacji „WEKTORA” wynosił 66% ceny krajowego komputera. Czyżby był za wysoki dla obsługi projektów inwestycyjnych stanowiących ponad 25% Dochodu Narodowego Brutto? Według P. Bożyka „tańsza”, a więc lepsza była obsługa przy pomocy „liczydeł”. Nic dziwnego, że to właśnie tego typu „uczone głupstwa” przyczyniły się do upadku gospodarki PRL. Doradca, wbrew własnej woli, ma tu duży wkład, z czego może być dziś dumny. Martwi się P. Bożyk, że „WEKTOR” opierał się na innej sprawozdawczości niż ta od Głównego Urzędu Statystycznego”. Wiadomo dlaczego, ponieważ sprawozdawczość GUS była fałszowana. Dlaczego zatem Doradca nie poparł naszego rozwiązania jako mającego znamiona reformy gospodarczej, tylko doradził go zlikwidować, bowiem „czekał” na reformę? Jak wiemy ów Doradca nie doczeka się jej.

Dlaczego prof. Bożyk nigdy nie zorganizował konferencji na temat zasad rozwoju informatyki i nie przedyskutował problemu w naukowo-zawodowym klimacie? Dlaczego sam nie zaprosił mnie na rozmowę i nie zweryfikował „danych” wspomnianego raportu? Dlaczego zamknął się szczelnie w swym gabinecie i był odporny na weryfikowanie swoich opinii?

Odpowiedź na to pytanie daje prof. Władysław Radzikowski w swej replice do POLITYKI, nigdy nieopublikowanej. Pisze on: „Program Rozwoju Informatyki 1971-75 zawierał naprawdę kompleksową koncepcję rozwoju polskiej informatyki. Dodam, że była to pierwsza i jedyna na razie koncepcja informatyzacji naszego kraju, koncepcja zwarta i konsekwentna. Została jednak odrzucona przez władze, bez szerszej dyskusji. Obawiano się, że dzięki proponowanym systemom informatycznym „wszystko będzie widać”, „Wszystko” — czyli konsekwencje każdej decyzji strategicznej z oddzielną branżą, jak i stan każdej gałęzi oraz całej gospodarki narodowej. A ekipa sukcesu nie była zainteresowana w tym, ażeby ów „sukces” pokazać w pełni. Nie przypadkowo więc zaatakowano najostrzej system informatyczny WEKTOR, który pokazywać (obnażać) miał stan rzeczywisty programu inwestycyjnego i jego realizację. Trudno dzisiaj ocenić, jak wielkie szkody poniosła polska gospodarka z tytułu odrzucenia systemu WEKTOR. Dzięki temu kierowano gospodarką metodą „prób i katastrof”. Prof. Radzikowski pisze dalej: „Przecież to już nie naiwność a metoda twierdzić, że prof. A. Targowski (główny autor koncepcji) spowodował kilkadziesiąt miliardów polskiego zadłużenia, cofnięcie rozwoju polskiej gospodarki o 15 lat itd. — znów „głównie” i „zasadniczo”. „Twierdzić coś takiego, to nie naiwność, ale metoda — pragnę powtórzyć. Jak bronić polską gospodarkę przed doradcami wciąż podsuwającymi prościutkie i łatwiutkie wyjaśnienia zawiłych spraw naszej gospodarki”.

Prof. Radzikowski po odmowie wydrukowania jego polemiki w POLITYCE wysłał tekst do redakcji INFORMATYKI, która listem Władysława Klepacza, z-cy redaktora naczelnego (z dnia 24.06.1984r.) również odmówiła druku polemiki. Pomimo faktu, że byłem współzałożycielem tego periodyku i członkiem redakcji przez 10 lat oraz autorem kilkunastu publikacji zamieszczonych tamże. Widać obawa przed władzami PRL (junty wojskowej) wzięła górę nad etyką koleżeńską i zawodową. Do POLITYKI wysłał także swoją polemikę dr Lech Janczewski i to aż z Nigerii. Napisał w niej, że „twierdzenie, że informatyzacja była jednym z głównych powodów przegrzania inwestycyjnego, jest nonsensem”. Jednak redakcja nie wydrukowała polemiki.

P. Bożyk nie napisał całej prawdy i szukał winnych tam, gdzie ich nie było, w myśl mylącego zawołania „szukaj złodzieja”. Tylko dlaczego prof. Bożyk tak bardzo żałuje upadku PRL? Miły Panie Pawle, dlaczego? Szkoda Panu gabinetu z oknem na Nowy Świat? Czy Pan wie, że gdy starałem się wejść do Pana biura w KC, musiałem otrzymać przepustkę i być zlustrowany przez licznych „smutnych” agentów siedzących od niechcenia na bezludnych korytarzach i pilnujących Pana. Czułem się jak w Gestapo, kiedy jako dziecko byłem na widze-

niu z Ojcem w Alei Szucha w 1940 r. Powie Pan, że to mocne porównanie, ale dziś wiemy, że komunizm zabił 100 milionów ludzi, podczas gdy nazizm zabił „tylko” 25 milionów.³ Pana doradztwo natomiast „paliło umysły”, z czego Pan sobie wtedy nie zdawał sprawy i nawet nie było to Pana intencją, ale dziś po 25 latach to widać tak jasno.

Z polemiki Bożyk — Targowski skorzystał najwięcej Daniel Passent, który napisał paszkwil na mnie pt. „Co słyszać w maglu?” (POLITYKA z dnia 28. 01. 1984 r.). Gdy czytam ten felieton po latach, to nawet zauważyłem, że jest dowcipny, choć autor za cenę gry słów z ofiary robi durnia. Najlepiej podsumował książkę P. Bożyka w POLITYCE, Marek Rostocki w artykule pt. „Epitafium dla dworskich ekspertów”, Pisz on: „że Bożyk próbuje przejść przez to wzburzone morze suchą stopą. O wielu drażliwych i obrosłych sprawach pisze ogólnikowo, wręcz uważając, aby nie powiedzieć za dużo”. Dodam od siebie, że prof. Paweł Bożyk krytykował w swej post-gierkowskiej książce sytuację i ludzi, ale nie podał na czym według niego miał polegać nowy system gospodarczy PRL i jak należało do niego dojść? Z jakich więc pozycji wiedzy doradzał i krytykował np. nasz program informatyki? Skoro sam dreptał w miejscu i jak twierdzi na informatyce nie znał się. Po prostu stosował ówczesną zasadę aparaczyka, że „ja się na tym nie znam, ale myślę że powinniśmy...”. Z wiedzą jaką posiadał (powiedzmy precyzyjnie: ujemną) profesor Bożyk, nie mógłby teraz w XXI w. być doradcą nawet u komunistycznych Chińczyków, czego mu współczuję. Podczas gdy wiedza wyrażona w naszym oryginalnym modelu KSI/INFOSTRADY z 1972 r. przetrwała próbę 25 lat i jest teraz stosowana w rozwiniętych krajach. Ba, cały świat teraz nawet „tańczy” w takt INFOSTRADY-Internetu. Jednak nie udało się prof. Bożykowi, nadwornemu doradcy i jego zausznikom powstrzymać postępu.

Paweł Bożyk pospieszył się ze swą książką wydając ją już w 1983 r. najwyraźniej chciał wejść do nowej ekipy gen. W. Jaruzelskiego i doradzać dalej. Dlatego nie napisał pełnej prawdy, bowiem wciąż obowiązywał model apartczyka, a nie naukowca. Co gorzej, już jej nie napisze, a szkoda.

Bożyk miał mi za złe, że „mierzyłem siły na zamiary”, że chciałem przebudzić PRL techniką poinformowania i skomunikowania. Zwyciężyła szarżyzna i miernota. Bożyk wygrał, ale przegrała Polska. Choć nie na długo, bowiem technika nie znosi kłamstw i w III RP zaczęła zwyciężać, ale już bez Bożyka i jego „uczonych” głupstw.

Szykany w ORGMASZu

Jak już wspomniałem przyszedłem do pracy w ORGMASZU, gdzie powierzono mi pracownię, ale nie wiedziano, co mi powierzyć do pracy. Niewiele się namyślając zaprojektowałem założenia RESPLANU, czyli Resortowego

³ Stephany Courtois et al., *The Black Book of Communism: Crimes, Terror, Repression*, Cambridge, MA: Harvard University Press, 1999.

Systemu Informatycznego, o czym już pisałem w poprzednim rozdziale. Pracownia miała 3 pracowników, ale jednym z nich była Rosjanka mieszkająca w Polsce, której zadaniem było śledzenie tego, co robię. Drugim pracownikiem był Witek Lawina, znany działacz opozycji, którego w pewnym momencie, dyr. Edward Jarosz polecił mi zwolnić. Oczywiście takiego wniosku nie napisałem i ostrzegłem Witka, któremu poradziłem zejście z widoku tego dyrektora i przejście do Centrum Obliczeniowego ORGANU. W ten sposób Witek zyskał na czasie i mógł dłużej pracować. Trzecim pracownikiem był stażysta Krzysztof Malicki, który był mi bardzo pomocny.

Pewnego razu dyr. Jarosz pokazał mi pismo prof. J. Kulikowskiego, sekretarza Komitetu Informatyki, że jestem wyjątkowym szkodnikiem. Zdziwiło mnie, że ten profesor zdobył się na wyrażenie tej opinii na piśmie, co z uporem godnym lepszej sprawy mówił o mnie poza moimi plecami. Na podstawie listu Kulikowskiego dyrektor Jarosz odebrał mi dodatek za prowadzenie pracowni. Myślę, że ku zadowoleniu Kulikowskiego, choć ten zapewne liczył na większą karę dla mnie. Zresztą nie musiałem długo na nią czekać.

Nie przejmowałem się moją sytuacją i w godzinach pracy skupiłem się na pisaniu książki *INFORMATYKA, MODELE ROZWOJU I SYSTEMÓW*, którą opublikowałem w 1980 r. już po moim wyjeździe z Polski. Książka ta była przysłowiowym „kijem w mrowisko”, które wyzwoliło niskie instynkty zazdrośnych profesorów, dodam tych oszustów, o których wspominał prof. J. Groszkowski.

Po zaprojektowaniu RESPLANU według koncepcji KSI/INFOSTRADY dyr. Jarosz, z długimi korzeniami w służbach specjalnych, chciał mnie się pozbyć i spowodował moje służbowe przeniesienie do Instytutu Maszyn Budowlanych w Kobylce, oddalonej o 40 km. od Warszawy. Oczywiście powiedziano mi, że nie muszę tam przyjeżdżać, tylko mogę przychodzić do pracy w ośrodku obliczeniowym przy ul. Kolejowej w Warszawie.

Ośrodkiem tym kierowali docenci Maciej Zgorzelski i Maciej Bossak, bardzo dobrzy inżynierowie, którzy nie mieli dla mnie żadnych zadań, widocznie takie mieli polecenie z góry. Nie musiałem nawet przychodzić do pracy, choć wpadałem tam od czasu do czasu na drugie śniadanie. Krępowiałem się z przychodzeniem do tej „pracy” i nic nie robiłem, zwłaszcza, że pani Jola, sekretarka dyrektorów bez przerwy zgrywała się ze mną i pytała „panie docencie czy się panu nie nudzi?” Robiła to z ironicznym uśmieszkiem i przy wszystkich, bowiem wiedziała, że mi dokucza. Była ładna i lubiła „kontrolować” mężczyzn, zwłaszcza jednego — dyr. Zgorzelskiego, którego rozwiodła i została jego żoną oraz towarzyszką życia w Afryce i USA. Nic dziwnego, że czuła się pewnie w dokuczaniu mi. Do tych ich wyjazdów przyczyniłem się dość mocno w późniejsze za to, że Maciej zachowywał się wobec mnie przyzwoicie.

Wizyty w MPiKach

Nie pozbawiono mnie okrojonej pensji, abym nie stał się zawodowym rewolucjonistą typu KOR czy ROPCiO, ale pozbawiono mnie projektów, czyli pracy zawodowej. Miałem wtedy 39 lat i byłem w pełni moich twórczych sił. Była to zawodowa „śmierć za życia”. W tej sytuacji złożyłem podanie do POLSERVICE’u, centrali handlu zagranicznego eksportującej specjalistów do krajów trzeciego świata. Ponieważ „ktoś” zastopował moje podanie w tej centrali pełnej b. ubowców, więc rozpocząłem szukanie pracy za granicą na własną rękę. Musiałem więc dotrzeć do zagranicznych gazet z ogłoszeniami o wolnej pracy. Wówczas dobrym i chyba jedynym źródłem prasy zagranicznej były czytelnice Międzynarodowej Prasy i Kultury, znane pod skrótem MPiK. W Warszawie znajdowały się m.in. róg Alej Jerozolimskich i Nowego Świata, przy Placu Unii Lubelskiej, czy róg al. Jerozolimskich i ul. Towarowej. Szczególnie często przebywałem w tej ostatniej czytelnicy, bowiem o krok miałem na drugie śniadanie do „pracy” przy ul. Kolejowej.

Wkrótce poznałem kilku stałych czytelników, którzy przychodzili do czytelnicy w tym samym celu co ja. Niektórzy z nich bardzo otwarcie mówili o swoich planach i pogardzie dla PRL. Myślę, że znaleźli się oni w pierwszej fali uciekinierów na Zachód, jaka rozpoczęła się po ogłoszeniu Stanu Wojennego w 1981 r. Najwięcej ogłoszeń o pracy było w angielskiej prasie, która miała mocne korzenie w byłych koloniach angielskich w Afryce.

O dziwo, załatwiłem sobie sam posady dyrektora uniwersyteckich ośrodków obliczeniowych w Zambii i Nigerii. Jednak POLSERVICE opóźniał mój wyjazd za granicę, co nie było „przypadkiem opieszałości biurokratycznej” tylko metodą. Musiałem szukać jakiegoś poparcia, aby wyjechać z Kraju.

Szykany w Redakcji INFORMATYKI

W Dyktaturze PRL ludzie, którzy wybijali się ponad przeciętność zwykle znajdowali się w dwóch stanach: w okresie, kiedy mieli poparcie u władz byli uważani za „geniuszy”, a kiedy tracili poparcie, miano ich za „durniów”. Stanów pośrednich tacy ludzie na ogół nie mieli. Kiedy straciłem poparcie władz, z miejsca wszedłem w stan „durnia”. Oczywiście nikt z takim „durniem” nie chciał trzymać. Każdy, komu miła była kariera, brał na cel takiego „durnia” i robił z niego jeszcze „idiotę”.

We wspomnianym felietonie w POLITYCE, Passent zrobił ze mnie właśnie „durnia”, a nawet „idiotę”. Być może temu felietoniście-szydercy mogło to nawet ująć, wreszcie to jego zawód, musiał przecież z czegoś żyć. Jego pouczania o realnym socjaliźmie w Stanie Wojennym nie trzymały się kupy, chociaż, gdy SLD było u władzy w połowie lat 90., to tym jednak zasłużył sobie na stanowisko ambasadora w Chile. Pewnie dzisiaj cierpi na ostre skrzywienie kręgosłupa i brak atramentu w piórze.

W ślad za redaktorem-szydercą poszli i inni. Mam tu na myśli prof. Leona Łukaszewicza, redaktora naczelnego INFORMATYKI, z którym razem współzałożyliśmy to pismo w 1965 r, wówczas zwane MASZyny MATEMATYCZNE. W tym czasie spotkaliśmy się chyba z ponad 200 razy w Redakcji i dobrze poznaliśmy się, a nawet się zaprzyjaźniliśmy. Byliśmy nawet na „ty”. Kiedy Stanisław Kielan, pełnomocnik d/s ETO chciał go usunąć z Redakcji, wstawiłem się i Leona obroniłem. Teraz, gdy ja z kolei byłem w niełasce, L. Łukaszewicz wykazał daleko idącą czujność i zaczął wyraźnie dystansować się ode mnie — „głupca”. Na zjeździe AMPIG (Automatyzacja i Mechanizacja Przetwarzania Informacji Gospodarczej) w Kołobrzegu w 1974 r., na spotkaniu Redakcji z czytelnikami — uczestnikami zjazdu polecił mi usiąść przy innym stole. Powinienem być wyjść z sali, ale nie chciałem stwarzać trudnej sytuacji oraz miałem zamiar powstrzymać go moją obecnością od palnięcia jakiegoś niewłaściwego komentarza na mój temat.

Wkrótce L. Łukaszewicz przestał zauważać mnie podczas posiedzeń redakcji, a niedługo doprowadził do zwolnienia mnie z redakcji, w czym pomógł mu mój „przyjaciół” prof. Konrad Fiałkowski. Ten nawet przyjaźnił się z moimi kuzynami — Wyderkowskimi. Moje nazwisko ciągle jednak było znane w środowisku i niektórym ludziom nie przychodziło łatwo ot tak wyrzucić mnie na śmietnik. Pewnie tym względem kierował się dyr. Książek, z Wydawnictw Czasopism Technicznych NOT, które publikowało INFORMATYKĘ, kiedy zorganizował spotkanie Redakcji w mojej sprawie. Podczas tego spotkania ostro wystąpili przeciw mnie owi profesorowie Łukaszewicz i Fiałkowski. Tłumaczyli, że „muszę” odejść z redakcji, ponieważ moje projekty KSI i INFOSTRADY zostały odrzucone przez władze i nie będzie w „porządku” o ile będę nadal w redakcji.

Tak się składało, że w naszym piśmie opublikowałem kilkadziesiąt pozycji od czasu kiedy pismo nazywało się Maszynami Matematycznymi i przez wiele lat nadawałem pismu kierunek na zastosowania gospodarcze komputerów. Na ironię losu ani L. Łukaszewicz, ani K. Fiałkowski nie opublikowali żadnego samodzielnego tekstu w tym piśmie w ciągu 10 lat, a ponieważ nie było wówczas w Polsce innego pisma, nie publikowali w ogóle. Dziwne to, jak na redaktora naczelnego i jego zastępcę. Jak prof. Groszkowski powiedział „umieli zagajać, ale nie tworzyć”. Zważywszy, że był to okres pionierski, pisanie wówczas przez ludzi, którzy uważali się za pionierów informatyki było konieczne.

Myślałby kto, że wymienieni profesorowie byli inżynierami, więc pewnie siedzieli w laboratorium i coś tam majsterkowali. Otóż nic takiego nie robili. Podejrzewam, że Konrad nie rozróżniłby voltomierza od amperomierza, a Leon śrubokrętu od młotka, ten ostatni bowiem miał bardzo zły wzrok, nosił ciężkie cylindryczne okulary i w USA byłby prawnie uznany za niewidomego. Myślałby kto, że będąc profesorami prowadzili uniwersyteckie wykłady, otóż też nie. Leon na pewno nie wykladał nigdy na uczelni tylko przytulił się do Instytutu Matematycznego PAN, gdzie był zwyczaj pracy w domu, czyli tacy jak on nic nie robili, a Konrad chyba ograniczał się do nadzorowania prac magisterskich

na Politechnice Warszawskiej i głównie żył z pisania książeczek na tematy *science fiction*.

Przypomina tu się odpowiedź Radia Erywań na pytanie „czy osoba niepiśmienna może zostać członkiem Sowieckiej Akademii Nauk?”. „Tak, może, tylko nie może zostać członkiem korespondentem”. Wspomniani koledzy wszakże byli członkami Redakcji, ale nie jej „korespondentami”. Chociaż L. Łukasiewicz był i to na ironię losu, członkiem korespondentem PAN. Ci moi byli „koledzy” nie tyle, że nie umieli pisać, jeno wówczas nie wiedzieli co pisać. W stosunku do Leona, tę smutną prawdę odkryłem przy pisaniu monografii INFORMATYKA Modele Rozwoju i Systemów. Szukałem publikacji L. Łukasiewicza i prócz dokumentacji technicznej maszyn ZAM innych prac nie znalazłem. Kiedyś U Tant sekretarz ONZ zlecił L. Łukasiewiczowi opracowanie tematu dot. komputerów. Oczywiście L. Łukasiewicz zwrócił się o pomoc do mnie. Poprosiłem o kilka linijek szkicu, ale nie potrafił ich skłecić. Nie tylko nie zapłacił mi za pracę, za którą ONZ go dobrze wynagrodziło, ale nawet mi nie podziękował.

Nic dziwnego, że Łukasiewicz nałożył cenzurę na artykuły o KSI, INFOS-TRADZIE i WEKTORZE. Kiedy Wojtek Pietraszewski chciał opublikować artykuł w INFORMATYCE o systemie informatycznym Wektor — Awizo-Moc, Łukasiewicz nie zgodził się.

Jacek Karpiński nasz najlepszy polski konstruktor komputerów, wiedząc o szykanach Leona, zatelefonował do niego z interwencją. Zadzwoił z budki róg Nowogrodzkiej i Hożej, w której stałem razem z nim i usłyszałem jak Łukasiewicz powiedział, że „władze przestały stawiać na Targowskiego tak, że nie potrzeba sobie nim głowy zawracać”. Łukasiewicz był może niewidomy, ale na pewno nie głuchy na życzenia władz.

Jeśli chodzi o Konrada, to za swoją judaszowską rolę otrzymał „okruchy” z pańskiego stołu w postaci stanowiska dyrektora naczelnego Centralnego Instytutu Informacji Naukowo-Technicznej, skąd potem wyjechał za granicę jako polski urzędnik w ONZ. Ta ostatnia praca była marzeniem każdego polskiego fachowca, bowiem wiązała się z pensją płaconą według zachodnich stawek. Oczywiście w ślad za wyrzuceniem mnie z redakcji, Fijałkowski spowodował, że minister Nauki gen. S. Kaliski wyrzucił mnie także z Rady Naukowej Instytutu INTE.

Podpaść apartczykom Dyktatury PRL oznaczało „śmierć za życia”, co konsekwentnie praktykowano wobec mojej skromnej osoby, wyjmując jak to się mówi „kaształy z ognia” rękami uległych i moralnie zepsutych profesorów. Cóż, wówczas nie można było lansować idei nie zatwierdzonych przez Dyktaturę. Takiego delikwenta, który odważył się mieć własne zdanie, trzeba było tępić, nie dać mu pracy, zabronić publikowania i czekać na jego powolną śmierć jako fachowca a nawet człowieka, choć go nie zabijano wtedy i to był postęp w stosunku do lat stalinowskiego terroru.

To, że PRL funkcjonował tak długo bez zgrzytów było dziełem Dyktatury, która zdemoralizowała polską inteligencję. Dopiero w 1980 r., gdy robotnicy masowo i solidarnościowo wystąpili przeciw władzy zaczął się upadek PRL.

Czym żyłem?

W sytuacji pełnej szyszan, w jakiej znalazłem się po niefortunnym powrocie do PRL musiałem znaleźć sobie jakiś *modus operandi*, aby nie dać się zwariować. Skupiłem się na budowaniu nowej rodziny, budowaniu domu oraz grze w tenisa, a także na kontaktach z przyjaciółmi. Innymi słowy schowałem się w swoją „muszlę” i postanowiłem wrócić do Ameryki. Proces powrotu zabrał mi jednak 4 lata.

Praca w informatyce w Polsce była prawie niemożliwa. Mój dobry kolega Witek Szyszło, dyrektor ZETO w Białymstoku, zaprosił mnie na konferencję do tego miasta. W pierwszym dniu obrad wziąłem dość aktywny udział, jednak w drugim dniu większość organizatorów zaczęła mnie unikać. Witek powiedział mi, że spowodował to Ryszard Terebus, z-ca dyrektora naczelnego ZETO, który przestrzegł organizatorów, że mam wkrótce zostać aresztowany. Rysiek zawsze dobrze wiedział, ponieważ swego czasu „latał z pistoletem w rękę” i utrwał władzę ludową we Wrocławiu. Tu w Warszawie był zastępcą Wł. Matwina, byłego członka Biura Politycznego, który też był dobrze poinformowany.

Mój przyjaciel Zygmunt Łuczak, dyrektor ZETO w Łodzi też starał się mi pomóc, dał mi pracę zleconą, którą z przyjemnością wykonałem, ale zapomniał mi za nią zapłacić. Nie upominałem się. Pewnie zapomniał albo bał się by nie pozostawić śladu, że się ze mną zadaje. Starał mi się pomóc także mój kolega szkolny red. Andrzej Bober, za jego protekcją, pewien dygnitarz zaprosił mnie na informatyczną naradę, ale to było wszystko, co mógł mi zaoferować. Oczywiście moich rad nie wykorzystał, ponieważ dobrze wiedział, że są „złe”.

Z pieniędzy zarobionych w Stanach Zjednoczonych wybudowałem domek w Magdalence, pod Warszawą, przy ul. Modrzewiowej. Istniał wówczas tak korzystny przelicznik złotych za dolara (sto kilkadziesiąt złotych za 1 dol), że wprost za grosze można było coś niezłego wybudować. Budowanie wtedy było istnym koszmarem, bowiem były olbrzymie trudności w zakupie materiałów budowlanych, robotnicy zaś w pierwszej połowie dnia pracowali, a w drugiej przepijali zarobek. O ile dla innych inwestorów takie budowy były utrapieniem, dla mnie była to szansa „rozwiązywania problemów” typu postawienia równo ściany czy tynku i zapomnienia o informatyce.

W maju 1977 r. urodził się mój drugi syn Jacek, który swe pierwsze 2,5 roku spędził właśnie w Magdalence. Po jego pierwszych słowach „mama i tata”, nauczył się słowa „dym”, który wychodził z komina u sąsiada. Spokój panował wówczas w jego otoczeniu. W moim także, ponieważ obiecano mi zainstalowanie telefonu za dobre kilka lat, więc znajomi siłą rzeczy zapomnieli o mnie, nie wiedząc jak się ze mną skomunikować.

W tej sytuacji pisałem wspomnianą książkę oraz artykuły np. do ZARZĄDZANIA i KOBIECY i ŻYCIE. W pierwszym miesięczniku pisałem felieton pod zaniennym tytułem „Powodzenie w zarządzaniu albo testament menadżera”. Rysunki z kapitalną satyrą do tego felietonu wykonywał Janusz Kapusta,

który potem zrobił karierę artystyczną w Nowym Jorku. W drugim tygodniku pisałem felieton pt. „Szkice o cywilizacji”. Jak widać z tematyki wyraźnie zacząłem oddalać się od informatyki i szukać bardziej ogólnych tematów. Z tego niby niepozornego felietoniku o cywilizacji wykrystalizowało się potem u mnie zainteresowanie rozwojem cywilizacji, zwłaszcza jej Fali Informacyjnej i architektury infrastruktury informacyjnej. W PRZEGLĄDZIE TECHNICZNYM opublikowałem znamienny felieton „Granice metod”, w którym sugerowałem w oględnych słowach (cenzura), że już żadne metody nie uratują realnego socjalizmu.

Karol Szwarc, który kiedyś popularyzował moje projekty w prasie, napisał w ŻYCIU GOSPODARCZYM znamienny artykuł „Informatyka bez złudzeń”, w którym wyśmiał moje projekty. Odpisałem mu w KULTURZE w artykule „Złudzenia bez informatyki”. Artykuł nie ukazałby się bez pomocy mojego przyjaciela red. Jerzego Jaruzelskiego, który w Stanie Wojennym był zwolniony z pracy w prasie. Przemilił pan Jerzy zorganizował rozmowę redakcyjną w KULTURZE, która ukazała się w noworocznym numerze w 1980 r. na dwa tygodnie przed moim wyjazdem z Polski. Rozmowa ta była na temat „Kompromisów w latach 80.”, czyli tych, które nadchodziły. Wszyscy, którym było dobro Polski na sercu wiedzieli, że tak dalej być nie może i że władza musi pójść na kompromis. I rzeczywiście w sierpniu 1980 r. poszła, wprawdzie na krótko, ale potem już krok po kroku szła na kompromis aż do przekazania władzy w 1989 r., czyli że w naszym wąskim gronie intelektualistów powiedzieliśmy to głośno i chyba po raz pierwszy w otwartej prasie. Oczywiście mózgiem tej rozmowy był red. Jaruzelski, Ze względu na swe nazwisko wiele potem wycierpiał i to najpierw od swego kuzyna (który sprawił, że go wyrzucono z prasy), a potem od swych przyjaciół, w tym od Kazimierza Dziewanowskiego, który jako ambasador zgodził się na zwolnienie pana Jurka z placówki w Waszyngtonie. *Nota bene*, red. Dziewanowski wziął udział we wspomnianej rozmowie, jak to pan Jurek mówił „pod redakcyjnym stołem”. Po latach pan Jerzy powiedział mi, że ja jeden ze wszystkich rozmówców miałem „plany i energię”, w odróżnieniu od reszty zrezygnowanych rozmówców. To prawda. Choć nie byłem w więzieniu, ale mój umysł był aresztowany. Jak przystało na uwięzionego, starałem się ćwiczyć nie tyle swoje mięśnie, co umysł przy pomocy pisania.

Mięśnie natomiast ćwiczyłem w grze w tenisa. Jak z mojego przykładu wynika, bardzo jest ważne posiadanie alternatywnego stylu życia. Nie można jedynie zacieśniać życie do pracy, bo w niej wcześniej czy później przyjdą zmartwienia, tym większe im sukces będzie większy. Zresztą podobnie zdarza się obecnie w większości małżeństw, gdzie pojawiają się kryzysy; w takich sytuacjach dobrze jest mieć jakąś odskocznię, czyli zamiłowanie. Może to być zbieranie znaczków czy motyli, działalność w charytatywnej organizacji, czy sport. W moim życiu taką odskocznia jest tenis. Gra i spotkania z kolegami pozwalają zapomnieć, chociaż nie na długo, o innych kłopotach. Zatem zamiast trapić się złym kursem informatyki zacząłem częściej grać w tenisa na kortach „Legii” i w warszawskich turniejach dla amatorów. Wśród moich partnerów przeważała tzw.

„złota młodzież” albo „badylarze”, z którymi gładko wygrywałem, ale niestety nie miałem z nimi większej więzi psychicznej. Była mi ona jednak potrzebna, chciałem prywatnie uczestniczyć w dyskusji o otaczającej mnie rzeczywistości.

Jak zwykle pomógł mi przypadek, kiedyś na kortach podszedł do mnie red. Ludwik Krasucki i przedstawił się jako recenzent mojej książki „Informatyka klucz do dobrobytu” (1971). Pamiętałem tę recenzję z „Trybuny Ludu”, była bardzo sympatyczna. Teraz, gdy wszyscy unikali mnie, takie wyciągnięcie ręki do mnie bardzo mnie podniosło na duchu. Ludwik był wtedy z-cą redaktora naczelnego NOWYCH DRÓG i poszukiwanym autorem przemówień premiera i I sekretarza. Był więc z władz, tyle tylko, że miał do niej swój nadzwyczaj cyniczny stosunek. W pewnym uproszczeniu można powiedzieć, że to on nadawał kurs polityki w PRL poprzez „swe” przemówienia, w które absolutnie nie wierzył, a decydenci je odczytywali bez zmużenia oka. Co teraz mogę z całą pewnością potwierdzić. Ludwik był profesjonalistą w tym co robił, na zamówienie mógłby napisać wówczas przemówienie prezydenta Stanów Zjednoczonych i za-ręczam byłoby lepsze od pisanych mu przez jego amerykańskich pisarzy. Mówił mi wtedy „Andrzej, ty traktujesz Polskę jako normalny kraj, a przecież tak nie jest”. Wiedział dobrze, że PRL nie była Polską.

Po pewnym czasie Ludwik wprowadził mnie do swego stałego partnera tenisowego prof. Andrzeja Werblana, politologa, jakby nie było, członka Biura Politycznego i sekretarza KC. Graliśmy we trzech, a potem po prostu zacząłem uczyć pana Andrzeja, jak grać lepiej w tenisa. Początkowo uczeń traktował mnie dość instrumentalnie, jak trenera, co mnie się nie podobało. Nie grałem z nim tylko po to, by pograć sobie w tenisa, bowiem różnica w grze była spora. Grałem by pogadać sobie z inteligentnym człowiekiem i to dobrze poinformowanym. Od nieśmiałych rozmów przy siatce i rozmów nago pod prysznicem, przeszliśmy do bardziej regularnych rozmów na tematy polityczne. Prof. Werblan zadawał mi pytania, co sądzę o tym czy innym działaczu, a ja mówiłem mu swoje zdanie. O A. Straszaku, swoim zastępcy wyraził się krótko: „pomyliłem się, to dureń”. Bardzo znamienne zdanie powiedział o E. Gierku, że „każda polityka ma swoją pojemność i że polityka Gierka wyczerpała swoją pojemność”. Zatem w Partii wiedzano o tym już na kilka lat przed sierpniem 1980 r. A. Werblan zapewne wiedział „wszystko” o mnie, skoro raz powiedział mi, „Panie Andrzeju, mogę zatelefonować do premiera i praca znajdzie się dla Pana”. Podziękowałem. W informatyce panował układ Bożyk-Straszak-Huk oraz decyzja władz zlikwidowania KSI/INFOSTRADY i premier nie zmieniałby tego ot tak dla mnie, aby zrobić mi przyjemność, a w tym układzie mój powrót oznaczałby powrót do ciągłych intryg i szarpania sobie nerwów. Natomiast praca poza informatyką nie interesowała mnie, myślałem o wyjeździe za granicę. Zresztą prof. Werblan powiedział mi, że wyjazd na dwa lata dobrze mi zrobi. Kiedy Polservis, a *de facto* służby specjalne, blokowały mój wyjazd, wtedy A. Werblan wykorzystał swoje stanowisko i zadzwonił do J. Olszewskiego, ministra Handlu Zagranicznego, który wydał polecenie Polservisowi wypuszczenia mnie do Meksy-

ku z rodziną. Kiedy poszedłem pożegnać się do Ludwika, a potem do A. Werblana, Ludwik poradził mi „tylko nie mów Andrzejowi, że już nie wrócisz”. Ludwik jak zawsze wszystko dobrze przewidywał. Ja natomiast wiedziałem dobrze, że moja rola w PRL skończyła się, i że kraj czeka duże przesilenie. Nawet „wiedziałem” kiedy to nastąpi, bowiem znalazłem stałą dla polskich przesileń w XX wieku, którą był okres 12 letni. A oto ich ciąg „1920, 1932, 1944, 1956, 1968,...1980”. I rzeczywiście w 1980 r. wybuchła Solidarność w wielkim starciu z PRL. Od kilku lat byłem bezczynny i rwałem się do ciekawej pracy, którą sobie wymarzyłem na Zachodzie.

Koleczy tenisisci patrzyli krzywym okiem na moją grę z A. Werblanem. Pewnie uważali, że robię to dla kariery, zapewne nie znali mojej sytuacji i nie wiedzieli w jakim stanie psychicznym się znajduję. Po pewnym czasie nawet stali się bardziej przyjaźni dla mojego partnera, myślę, że miałem pewien wpływ na ten stan rzeczy. Na przykład poradziłem, aby pan Andrzej zrezygnował z szatni w oddzielnym pokoju i miał szafkę w sali ogólnej, gdzie wszyscy się przebierali. Mój partner coraz chętniej przebywał w tej szatni, poznał wielu nowych kolegów i czuł się zaakceptowany. Kiedy kardynał Karol Wojtyła został wybrany papieżem w 1978 r. sekretarz KC dał nam wykład na ten temat w szatni i do tego dla słuchaczy będących albo nago, albo w dużym negliżu. Sam wykładowca był zakryty tylko ręcznikiem. W wykładzie dał historyczny przegląd papieństwa oraz był bardzo pozytywny wobec osoby nowego papieża. Słuchaliśmy tego z otwartymi ustami, „nie dowierzając” sytuacji z uwagi na osobę prelegenta. Zupełnie co innego donosiła prasa, a raczej nie donosiła, ponieważ wzmianka o wybraniu polskiego papieża ukazała się np. w Życiu Warszawy w maleńkim doniesieniu z Rzymu, które ginęło wśród głównej informacji o wykonaniu planu produkcji przez jeden z kombinatów.

A. Werblan coraz częściej wpadał na „Legię”, aby jak nie zagrać samemu to popatrzeć się, jak grają inni. Często pytał, jak mi poszło w meczu z innymi. Nasza gra w tenisa miała pewien wpływ na przebieg obrad Biura Politycznego Partii, ponieważ pan Andrzej często mówił do mnie tak: „zagramy o 3-ciej, wprowadźcie mam obrady Biura, ale urwę się wcześniej”. Najwyraźniej nie przykładął dużej wagi do tych obrad, był we władzach partii od lat 40., chyba najdłużej w PRL. Nie miał najmniejszych złudzeń co do jakości tego reżimu. Kiedy wpadałem do jego biura jako wicemarszałka Sejmu, i czekałem w sekretariacie np. obok też czekającego ministra Nauki — prof. Górskiego, mój partner tenisowy wypadał z gabinetu i mówił tak „przepraszam Panie Andrzeju, najpierw przyjmę ministra Górskiego, a potem już jestem do Pana dyspozycji”. Minister G. wszedł do gabinetu na 5 minut, a potem wchodziłem ja i patrzyłem jak wicemarszałek szybko likwidował biurowe zaległości, aby szybko być gotowym do gry. Wśród tych „zaległości” dominowały rozmowy przez telefon z osobami, którym coś załatwiał albo doradzał. Okazało się, że ten „sztandarowy” działacz państwowy zachowuje się, jak zwykły obywatel i jest nadzwyczaj ludzki. Był to nie typowy obrazek dla ludzi, którzy praktykowali „socjalizm bez ludzkiej twarzy”. Myślę,

że pod koniec 1979 r. mojemu partnerowi tenisowemu chodziła myśl po głowie awansowania na I sekretarza. Od czasu do czasu wspominał mi, że chciałby jeszcze napisać książkę o demokracji. Najwyraźniej wiedział, że PRL wymaga nowego paradygmatu ideologicznego, choć nigdy nie kwestionował miejsca Polski w Sowieckim Bloku. Gwoli sprawiedliwości trzeba powiedzieć, że wtedy tego też nikt nie kwestionował ani na Wschodzie, ani na Zachodzie.

Metamorfoza Andrzeja Werblana szła dalej. Będąc już w Stanach Zjednoczonych widziałem w amerykańskiej telewizji twarz mojego partnera, którego nazwano liderem tworzenia sieci partyjnej, czyli poziomego organizowania komórek partyjnych na danym terenie, wówczas chyba w Toruniu. Było to zerwanie z kanonem leninowskiego „centralizmu demokratycznego”, który polegał na izolowaniu poszczególnych komórek, aby ich członkom nie przychodziły do głowy rozwiązania sprzeczne z polityką wąskiej grupy dyktatury. Choć PRL weszła w fazę „konania” pomysł A. Werblana nie spodobał się jego kolegom, którzy uznali go za zbyt daleko idącego reformatora i odstawili go na boczny tor. Myślę, że w tej metamorfozie „sztandarowego” działacza sporą rolę odegrał klimat szatni tenisowej na kortach „Legii”. W szatni tej członek Biura Politycznego miał rzeczywisty kontakt z grupą sportowców, która go nawet zaakceptowała, bowiem okazał się być miłym kolegą.

Pożegnanie z PRL-em

Na pożegnanie z PRL-em wygrałem w debla z Andrzejem Lechem (który przyjechał z Paryża) międzynarodowe mistrzostwo Polski — 1979, zawodników po 40-tce. Turniej w Sopocie był dobrze obsadzony, przyjechali byli zawodnicy z 7-miu krajów, w tym z Francji, W. Brytanii, Niemiec i Szwecji. Grało mi się dość dobrze i nawet w finałowym — ostatnim, decydującym secie wygrałem najważniejsze piłki. A więc nie przestałem być sobą. Z braku sukcesów w informatyce sięgnąłem po mój największy sukces w tenisie.

W dniu 17 stycznia 1980 r. wyleciałem z żoną Irminą, Jackiem i Agnieszką do Meksyku na kontrakt wykładowcy w Instytucie Technologicznym w Ciudad Juarez. Syn Staś dojechał później. Tym samym zakończył się mój pobyt w Ojczyźnie, bo już zdecydowany byłem nie wracać. W Polsce przeżyłem 42 lata, a w PRL 35 lat. Wystarczająco dużo, aby mieć szczegółową wiedzę o mojej Ojczyźnie, a co ważniejsze, aby mieć ją stale w sercu. Potem dałem po temu liczne dowody na Emigracji.

Opuszczałem kraj odrzucony, zawiedziony, ale niezaskoczony. Dałem swej Ojczyźnie moje najbardziej czynne lata w pracy pełnej poświęcenia i entuzjazmu dla tworzenia nowej dziedziny, jaką była informatyka. Szybko dostrzegłem w niej wielką drzemiącą rolę społeczną i chciałem ją przebudzić. W warunkach dyktatury pseudo-komunistycznej chciałem, aby informatyka przyczyniła się do zbudowania społeczeństwa poinformowanego i skomunikowanego, czemu miały służyć „infostrady”. Na Zachodzie przystąpiono do budowania

społeczeństwa informacyjnego, ponieważ jego społeczeństwa były już poinformowane. W Polsce trzeba było jednak w pierwszej kolejności nas poinformować. Chciałem także, aby przy pomocy informatyki zmniejszyć marnotrawstwo gospodarcze, temu miał służyć Krajowy System Informatyczny.

Władze dostrzegły moją politykę i zlikwidowały ją jako groźną dla bezkarnego i pasożytniczego funkcjonowania Dyktatury. Niestety w tym zadaniu pomogli władzy niektórzy przedstawiciele nauki. To mnie najbardziej bolało. Byłem wychowany w domu o tradycjach niepodległościowych, kiedy podczas niemieckiej okupacji istniała duża solidarność między Polakami, teraz w warunkach *de facto* sowieckiej okupacji tej solidarności zabrakło. To nikczemność warstwy inteligentkiej mnie najbardziej bolała i pozostawiła gorycz na całe życie.

Moje awanse w informatyce nie wynikały stąd, że „przynoszono mnie w tecze” z aparatu partyjnego. W informatyce przeszedłem przez wszystkie szczeble zawodowej kariery, od programisty, poprzez projektanta systemów, kierownika sekcji, działu, czy bezpartyjnego dyrektora zakładu, aż po szefa krajowych programów. Stale uczyłem się, praktykowałem swój zawód za granicą i poznawałem zachodnie społeczeństwa i ich języki. Sam lansowałem własne rozwiązania, a potem byłem naturalnym kandydatem na ich realizację. Ale do czasu.

Wkrótce moje idee stały się tak atrakcyjne, że pewni karierowicze chcieli je sami realizować, stąd musieli najpierw mnie usunąć z konkurencji. Gdy zostali sami, nie umieli niczego zrobić. Przypomina mi się tu sytuacja pewnego polskiego kuglarza, który na targu przy ul. Polnej w Warszawie, zaczął kupować jajka od przekupki i tłukł je wyjmując z każdego sto złotych. Przekupka nie wytrzymała i sama zaczęła tłuc jajka, ale ani jedna złotówka z nich nie wyleciała. Morał stąd taki wynika, że w pionierskim okresie, informatyka była sztuką, a nie jak teraz rzemiosłem i że wymagała ona określonej wiedzy i talentu, a przede wszystkim etyki zawodowej.

Czy miałem złe pomysły, skoro je zlikwidowano? Dalszy rozwój informatyki wykazał, że świat poszedł w tym samym kierunku, który lansowałem w Polsce w latach 1970-1974. Na szczęście Dyktatura PRL upadła w 1989 r. i III RP powraca do moich rozwiązań, które teraz są rozwiązaniami amerykańskimi.

Czymże był PRL, ten hamulec informatyki i wszystkiego co zwie się postępek społecznym? Był to narzucony przez Sowiety reżym, który miał znamiona normalności, ale który pilnie strzegł wyłączności swej władzy. Usprawnienia reżymu były dopóty tolerowane, dopóki nie zagrażały jego istnieniu. Nie jest zupełną prawdą, że reżym był niereformowalny. Był przykład Jugosławii, która miała dyktaturę partii, ale gospodarkę quasi rynkową. W tym kierunku trzeba było iść zdecydowanie, ale zabrakło wówczas w Polsce wybitnych umysłów ekonomicznych i woli politycznej np. u E. Gierka i jego doradców typu prof. P. Bożyka (który wówczas nie znał zachodnich języków i nie wiedział, co dzieje się na świecie). Co by to dało? A no społeczeństwu żyłoby się lepiej, ludzie wyżywaliby się we własnych biznesach, być może specjaliści tacy jak ja mogliby założyć prywatny biznes informatyczny i nie oglądaliby się na łaskę aparczyków.

Z drugiej strony, nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło. Wskutek takich stosunków społeczno-politycznych, jakie opisałem tutaj, PRL upadła. Kto ją rozłożył? Dyktatura PRL sama się rozłożyła i co więcej przyczyniła się nawet do rozpadu ZSRR. Oczywiście było wiele korzystnych zbiegów okoliczności, jak np. fenomen polityki Michaiła Gorbaczowa, ale jego *glasnost* i *pierestrojka* były pod silnym wpływem polskiej Solidarności, która jak sfinks, powstała z popiołów komunistycznej niesolidarności w sierpniu 1989 r.

Opozycja polityczna zaczęła się formować na dobre w połowie lat 70., kiedy powstał KOR i ROPCiO, była to opozycja „zewnątrzna”. Ale czy program informatyki na lata 1971-75 nie był formą opozycji „wewnętrznej”, równie mocno zwalczanej, jak późniejsza opozycja „zewnątrzna”? Myślę, że w ten sposób, my niektórzy informatycy, uratowaliśmy honor specjalistom gospodarczym, którzy przy pomocy nowoczesnych metod informacyjno-komunikacyjnych chcieli zmiękczyć Dyktaturę PRL. Swymi metodami ukłuliśmy Dyktaturę w jej najczulsze miejsce, bowiem była oparta na sfałszowanej informacji i braku komunikacji społecznej.

Do PRL już nie wróciłem, bowiem w międzyczasie otrzymałem nawet kapturowy wyrok śmierci (o czym będę pisał dalej), ale za to wróciłem do Polski, czyli III Rzeczypospolitej w 1990 r. z delegacją amerykańską, która pomagała w uruchomieniu samorządów lokalnych.